

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 24 stycznia 1914 roku.

№ 4.

Andrzej Strug.

## „Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-  
skie i wydawców za-  
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

— Panie Shurman — mój siostrzeniec, któremu chcę zapisać wszystko, co posiadam, opowiadał mi niejednokrotnie, że nie będzie prowadził żadnych interesów, tylko będzie się zajmował filantropią.

— To też swojego rodzaju obłąd, ale przynajmniej z filantropii jest odrobina pożytku.

— I co ciekawsze, nie jest on z usposobienia filantropem, jak jakieś zwaryowane stare panny, które nie wiedzą, co robić z pieniędzmi, tylko budują szpitale i kościoły. Mały ten, którego zresztą kocham, jak swna, mówi otwarcie, że nie warto, a nawet, jak się wyraża, jest nonsensem gromadzić miliony poza pewną granicę. Po co? pyta. Na co? Kiedy, mając bodaj sto milionów, ma się wszystko, o czem fantazyja ludzka może zamarzyć?

— I pan tego słuchasz cierpliwie. I pan, van Joerg, który sam, własną głową i własnym szczęściem dorobiłeś się pięknego majątku, zostawiasz swoją fortunę chłopcu, który niezdolny jest zrozumieć najprostszej, najzdrowszej idei, jaką każdy urodzony w naszej sferze powinien mieć we krwi, w duszy, w mózgu?!...

— Liczę na to, że z wiekiem się zmieni. Zresztą, komu mam zostawić majątek? A zresztą, panie Shurman... Czy w tem gadaniu dwudziestoczoletniego chłopca niema pewnej racji?

— Van Joerg! Co powiedziałeś? Odwołaj to natychmiast, bo w takim razie życie twoje jest nonsensem! I moje! I wszystkich nas, ilu nas tam jest w Ameryce i na całym świecie!

Tom Shurman trząsał się z oburzenia. Van Joerg uśmiechał się z głębi wielkiego fotela, w którym ma-

leńka jego postać tonęła, jak w basenie. Podwinął pod siebie nóżki, skulił się, a małemi czarnemi oczkami patrzył bystro, ciekawie, jak mysz.

— Cóż... Niech każdy robi, co chce. To jedyne prawo świata.

— A cel świata?

— Cel? Co to takiego?

— Cynik jesteś, van Joerg. To dobre w interesach. Ale każdy człowiek naszego pokroju powinien wierzyć w swój cel.

— No?

— Powiadają, że my panujemy niby nad światem...

— Niby?

— Niby! A trzeba, żeby tak było naprawdę! Na to niedość milionów. Niedość trząść giełdą, van Joerg! Trzeba wiedzieć, czego się chce. Rozumiesz pan? Powiada swój tam chłystek, że mu dość stu milionów i na tem kończy się dla niego cały świat. Sto milionów, to za dużo na używanie. Ja razem z synem nie wydajemy na siebie rocznie więcej, niż pół miliona, nieczego sobie zresztą nie odmawiając.

— To bardzo względne.

— Nie. Tylko waryat wyrzuca za okno swoje pieniądze. Ale gdy patrzeć na życie noważnic, to marne jakieś sto milionów dopiero stawiają człowieka na początku drogi. Miliard daje mu już dużą władzę... A potem, uważaj pan, co mówię: każdy nowy tysiąc tysięcy pomnaża jego potęgę. Nigdy nie dosyć! I taki dopiero staje na czele swojego społeczeństwa. Taki panuje wbrew wszystkiemu, pomimo że to się nie podoba socyalistom, pomimo, że znajdzie się tu i owdzie prezydent lub monarcha, którzy zabawiają się w demokratów! Kiedyś, do kilkuma-

stu takich mężów należeć będzie świat...

— Życzę ci, mister Shurman, żebyś należał do tego świetnego grona. I zapewne już byś tam był, gdyby cała fortuna ojca przeszła na ciebie jednego. Cóż miss Jenny?

Shurman westchnął.

— Weiaż chora? Ani żyje, ani umiera...

Shurmanowi wydało się, że van Joerg powiedział to z pewnym naciskiem. Spotkał się ze sprytnym, mysiem spojrzeniem van Joerga.

— To nieuleczalne.

— Dziwię się, że tak dzielny człowiek, jak pan, nie potrafi znaleźć odpowiedniego lekarza. Tyłu lekarzy! Tyłu najrozmaitszych!

— Wzywani byli wszyscy. A od paru lat trudno mi na nią wpływać, gdyż Jenny ma osobliwą manię. Nie nawidzi mnie i nie dopuszcza do siebie. Czuwam nad nią jednak zdala.

— O, jestem przekonany!

— A majątek się marnuje...

— Weiaż nowe pałace, wille, chaty po górach, wyspach, po wszystkich zakątkach świata. I tu coś ma w lodowcach?

— Et — więcej w tem plotek, niż prawdy.

— Jednak wyzyskiwać ją muszą doskonale.

— Weale nie. Weiaż samotna.

— A zatem ssie ją ktoś jeden. To jeszcze drożej kosztuje.

— Głupstwo. Ot — za mąż nie chce iść.

— No, niewielkie stąd dla pana zmartwienie. Przecież pan ją przeżyjesz.

— Kto to wie?...

— Ja wiem!

— Ha, ha, ha...

— Ha, ha, ha...

Śmiech ich złął się ze sobą, spojrzeli sobie w oczy i coś jakby widmo nagiej prawdy przemknęło się między nimi. Shurman drgnął i spojrział ponuro. O szacunek ludzki nigdy nie dbał, ale nie znosił, gdy mu zbyt wyraźnie dawano do poznania,

co o nim myślą. Rzucił tedy od niechcenia:

— A policcyi szwajcarskiej pan się nie obawia? To nie to, co u nas...

Przekorny człowieczek rozemniał się swobodnie. Zmarszczki z całej twarzy zebrały mu się około ust. Uczynił się zgrzybiały, odrażający i komiczny.

— Niech się pan nie obawia! Mała jest rodzona i co więcej autentyczną córeczką zacnej madame Gallix, która czasowo należy do mojego domu, jako sekretarka prywatna do korespondencyi francuskiej. Wszystko w porządku. Nie gniewaj się, zacny panie Shurman, to moja jedyna przyjemność, dość niewinna... Ja nikomu źle nie życzę.

— Jednak myślę, że kiedyś się to urwie. Van Joerg—nie nastarczy ci pieniędzy, żeby przepłacić całą prasę i wszystkie sądy.

— Nie obawiaj się pan. Szantaż międzynarodowy jest zorganizowany. Mam do czynienia bezpośrednio z syndykatem. Stały roczny podatek i tyle.

— A ojcowie, matki pańskich ofiar?

— Sami się o mnie ubiegają. Opędzić się nie mogę.

— A opinia wreszcie?

— Ha, ha, ha...

— Socjaliści?

— To robi mi nawet reklamę. A wszystko idzie na karb nienawiści klasowej. Znadto się pan niepokoi. Cóżby to było, u dyabła, żeby ludzie naszej sfery nie mogli robić, co im się podoba?

— No, niedalej, jak zeszłego roku, mieliśmy sprawę van Truppera i hrabiego Luneburga. Samobójstwo, sąd skandaliczny...

— To jeszcze Europa! Stara monarchia! W grę wchodzi względny konwenansów życia dworskiego. Opinia monarchy, dygnitarzy, arystokracji rodowej, tego najśmieszniejszego przeżytku naszych czasów. Nędzarze o średniowiecznych pretensjach! Krew przodków! Nadrabiają jeszcze miną! Jedyny ich proceder, to wyzyskiwanie resztek głupoty naszych sfer. Zabierają nam posażne panny. Tym zawsze do gotowego. Za przykładem przodków, męźnych raubritterów.

Shurman palił cygaro, słuchał i mocno się wstydził swojego wybuchu. Z van Joergem już oddawna nie prowadził żadnych interesów, obawiać się nikogo nie potrzebował, jednak postanowił załagodzić swoje przykre słowa. Van Joerg przyjął wyzwanie cynicznie i spokojnie, nieomal życzliwie, jednak Shurman wiedział, że tem zjadliwsza będzie jego zemsta. Bankier chicagoski miał w ręku prasę Centralnych Stanów. Shurman miał za sobą dzienniki całego południa, które go będą broniły zajadle. Jednak wznawiania sprawy synowicy obawiał się bardzo.

Już to raz było i skończyło się

zwycięstwem Shurmana, tryumfem dobrej sprawy. Dowiódł światu, że nie zabiegał około uznania Janiny za obłąkaną, że nie przekupywał lekarzy, że nie wymuszał na niepoczytanej spisania testamentu, że nie nasyłał drabów na jej domniemych narzeczonych.

Dziennik socjalistyczny skazany został na wielką karę pieniężną i musiał upaść z powodu głośnego z przed siedmiu laty artykułu p. t. „Śmiało, Shurman“, gdzie zalecano potentatowi południa, żeby zrzucił maskę i poprostu kazał zamordować synowicę.

Sama Jenny napisała wówczas do pism list otwarty, gdzie wyznawała swoje przywiązanie i szacunek dla drogiego stryja. Gdy jednak Shurman przybył podziękować jej za to, nie przyjęła go i odtąd więcej jej nie widział.

Teraz, kiedy długoletni upór mistress Briggs został nareszcie przełamany, kiedy najdalej za rok miał się stać ów fakt przełomowy, wznowienie starych, już zapomnianych w opinii rewelacyi i walk byłoby niezmiernie niedogodne.

Niebaczne, brutalne słowa mogły go kosztować zbyt drogo.

Shurman, gawędząc od niechcenia o tem i o owem, przybierał stopniowo ton żartobliwy, dobroduszny, opowiedział parę anegdot i nieznacznie zmierzał ku temu, ażeby się upewnić, że zatarł niemiłe wrażenie. Jednak van Joerga nie nadarmo przeczywano „małpa“. Nie niepodobna było po nim poznać. Rechotał ze śmiechu, szczerząc żółte zęby, a oczkami świdrował chytrze i mądrze, jakgdyby przenikał zawczasu każdą ukrytą myśl Shurmana.

I Tom Shurman, który się niko go nie bał, zaczął się bać śmiesznego potworka. On, najdumniejszy, zaczął się poniżać przed pośmiewiskiem Ameryki. O mało nie uczynił najfałszywszego kroku — przez chwilę, gdy zapadło milczenie, chciał formalnie przeprosić van Joerga.

— Tom, starzej się! — mówił sobie dla otuchy. Tom, imaginacja! „Małpa“ nie ma godności ani honoru. „Małpa“ nie obraża się przecie. A zresztą, o jego namiętności wie cała Ameryka, cały Paryż — rzecz jest jawna... Zupełnie, jakbym zapytał Lyttona o niebezpieczeństwa ich sportu...

Lyttonowie dokończyli hałaśliwej konferencyi z przewodnikami i całą czwórka, dudniąc basowemi głosami, stukając po posadzce grubemi butami, wyniosła się czynić gdzieindziej dalsze przygotowania do wielkiego przedsięwzięcia.

Po rozległym hall'u, udekorowanym wzdłuż ścian kępami krzewów, snuli się goście, znudzeni niepogodą. Hotel „Astoria“ gromadził podczas sezonu najwybrańsze towarzystwo. Dyrekcyja nie przyjmowała bylekiego, nawet podczas złego sezonu, wie-

dząc, że ludzie pewnej sfery lubią być między sobą. Zresztą, klientela była prawie stała.

Niepogoda zburzyła nieco sztywną etykietę i ceremonialność, jaka panowała w tym gmachu odosobnionym i ponurym, pomimo przeróżnych wieżyczek, pasiatych markiz na oknach i udekorowanego krzewami górskimi tarasu, zajmującego całą przestrzeń płaskiego dachu. Nudząc się i oczekując na wycieczki, oraz na widok „jedyny na kuli ziemskiej“, goście z „Astorii“ zbliżyli się z sobą, nie poprzestając na spotkaniach w hall'u, który był terenem neutralnym, wymieniali wizyty w swoich apartamentach.

Zapanowała nawet jakgdyby pewna poufałość między amerykańskimi a towarzystwem francusko-włoskim, które w ciągu paru dni trzymało się bardzo odpornie. Lody przełamane zostały dzięki bujnemu temperamentowi oraz licznym urokom arcybrzydkiej miss Slazenger, która pewnego wieczoru nakazała grać walca i napoczekaniu zorganizowała wieczór taneczny, czego jeszcze nie widziały mury „Astorii“. Towarzystwa zbliżyły się. Rodzina markiza de Chappedelaine i księcia Pugliesi-Conti zostały porwane w wir zabawy, dzięki zupełnie zrozumiałej zresztą nierozwadze swojej młodzieży.

Tańczono prawie do rana, spożyto wspólnie kolację, słowem, zbratano się zupełnie.

Stary markiz de Chappedelaine bawił się wybornie, przyglądając się okazom amerykańskim, patrząc z blizka na ich bajeczne maniery.

— Nie wierzysz, książę, — mówił nazajutrz do księcia Pugliesi-Conti, — co mnie spotkało wczoraj przy stole. Ten gruby ex-rzeźnik z Chicago poklepał mnie po łopacie!

— Niezrównane!

— Uczynił to nadzwyczaj dobrodusznie i owiele zamocno. Pówtarzałoby się to przez całą kolację, ale odsunąłem się od niego demonstracyjnie wraz z nakryciem i z krzesłem. Nie poznał się na tem.

— Naturalnie! Wczoraj miałem wrażenie saturnaliów, kiedy to raz do roku państwo zasiadali do stołu z niewolnikami.

— Tak, tak. Świat naopak, tylko że teraz te chamy — daruj, książę, gorzkie słowo — trzęsą światem. Fortuny kolosalne, prawie nie do pojęcia! Kolosalna zdolność gromadzenia bogactw i żadnej kultury w spożywaniu. Kiedy patrzę na ich życie, a spotyka się ich w Ostendzie, w Nicei i zresztą wszędzie, wydaje mi się, że widzę świnię—daruj, książę, gorzkie słowo — żrącą w złotych korytach najwybredniejsze potrawy i paskudzące (daruj, książę!) wprost pod siebie na bezcenne gobeliny, które im podesłano w ich wysadzonym brylantami chlewie... Grube, pierwotne natury...

DCN.

## I. BURZE.

*Jako te rzeki przemożne Sybiru,  
Jako te czarne szalejące wstęgi,  
Odziane w mroki cedrowego kiru,  
Jako te straszne żywiołów potęgi,  
Co wśród nawalnic zamętu i wiru  
Czarnych piorunów roztańczają kręgi,  
Jak te orkany tajgi, jak te cuda, —  
Była ma młodość — młodość wielkoluda.*

*Przeciwny prawom, lecz burzom uległy,  
Plwalem w twarz śmierci, wyzywałem los.  
Ale mię duchy jakieś dobre strzegły,  
Z głowy mi nie spadł ani jeden włos!*

*I anim wiedział, kędy drogi wiodły,  
Anim się starał wypytać o cele!  
Jak te stuletnie cedry, jak te jodły  
Szumiały, patrząc w bezdenne topiele,  
I wierzchołkami stropy niebios bodły, —  
A takie było w ich szumie wesele! —  
Tak i w mej duszy nieznaną krańca,  
Szumiała radość i beztroska tańca.*

*I w tym młodości niewstrzymanym szale  
Dalem, by niósł mię tytaniczny prąd,  
Prulem nieznanych oceanów fale  
I rozbiiałem piersią każdy ład.*

*Sen o przystani cichej był mi obcy,  
Ja sam za siebie byłem i dla siebie,  
Gardziłem braćmi, którzy, jak parobcy  
Są swego losu i służą potrzebie,  
I znaczą ziemię sypanemi kopcy,  
Nie wiedząc w nędzy swojej, że na niebie,  
Ani na morzu, nie znajdziesz granicy  
Oprócz zygzaków czarnej błyskawicy.*

*Wolałem: — co mi twoja krzywda, bracie!  
Precz ze swą skargą! Kocham tylko szal!  
Nie jesteś godzien, abym powstał za cie,  
Bo poccożes się cudzej krzywdzie dał!*

*Dom budowałeś — powiadasz. A pocco?  
Wróg ci to zburzył — mówisz. To się ciesze!  
Niech ci nad głową pioruny łomoca,  
A nie zaufasz z drzazg skłębionej strzesze.  
Niech do cie gwiazdy przyjdą dzisiaj z nocą,  
Wiatr niechaj do smu włosy ci uczesze,  
A wtedy poznasz, że masz wolną duszę!  
Zegnaj. Odchodze, gdzie chce, nie gdzie musze.*

*Stał, patrząc na mnie skamieniałym wzrokiem,  
Jakby chciał wyrzec: czy ty mękę znasz?  
Czy byłeś kiedy pod bólu urokiem?  
Nie znasz? Nie byłeś? Więc nie jesteś nasz.*

*Śmiałem się wtedy. Ani jednej rysy,  
Nie miało jeszcze wyniosłe me czoło.  
Niebezpieczeństwa, jak wściekłe tygrysy,  
Czyhały na mnie drapieżnie wokół.  
Ja — miałem na nie w silnych rękach spisy,  
I było mi to zabawą wesołą.*

*Lecz męki, bólu nigdy nie zaznałem,  
Ani też mogłem zaznać. Więc się śmiałem.*

*Życie me było sil mych rozpetaniem,  
Wolała ma chciała objąć cały świat,  
Szedłem przed siebie z rozgłosnym wołaniem:  
Żywioły! moce! wstańcie! Jam wasz brat!*

*Ramionom ciążył nadmiar młodej siły,  
Śmiała się we mnie żądza niszczycielska,  
Od skał z granitu odrywałem bryły,  
I w czarną toń rzucałem grube cielska,  
Aby uragać ręką, co wznosiły  
Te skały, — czy to była moc anielska —  
Czy moc szatana — czyje twarze zbledną —  
Z gniewu, czy z żalu — to mi było jedno!*

*Człowieku nędzny, płaczesz, że chalupa-c  
Splonęła. Patrz, jak skały lecą w toń,  
Których nie mogły stulecia razłupać,  
A oto dzisiaj kruszy moja dłoń.*

*Patrz! Rzeka — olbrzym, jako zwierzaniony,  
Stanęła nagle w swoim hucznym pędzie,  
Królowa, której poprzez lat miliony  
Do stóp schylały się skalne krawędzie,  
Przed którą gięły się cedrów korony,  
Szepcząc jej sławy i mocy orędzie,  
Dzisiaj, gdy bieg jej królewski wstrzymany,  
Huczy, rwie brzegi, cała w strzępach piany.*

*A na to patrzy — głuchy i spokojny,  
Stary, jak skały, jak ta rzeka, — las.  
Gniewa ten spokój mnie! Pragnę z nim wojny!  
Hej! Dzisiaj musi zginąć jeden z nas.*

*Wchodzę do puszczy. W nieprzebytym mroku.  
Gdzie żaden promień nie dochodzi z góry,  
Do swych tajemnych głębin bronią kroku  
Pnie czarnych cedrów, niby groźne mury.  
Lecz ja mam piorun w rozszalałym oku!  
Ze strasznym gromem runął cedr ponury.  
Pali się. Chwytam. Inne pnie zapalam.  
Krzyczę. Szaleję. Żywioły wyzwalam.*

*Buchnęły ognie. Łomot strasznej burzy.  
W prawiecznych mrokach gore jasny dzień.  
To w dymach tonie, to się znów wymurzy  
Niby olbrzymie słońce, każdy pień.*

*Uderzył wicher, zrodzony gdzieś w jarach,  
Ryknął, zahuczał tysiącem gardzieli,  
Zadudnił w ziemię, zaświstał w konarach  
Łączy, przerzuca ognie, znów je dzieli,  
Tajga się klebi, cała w dymach, w parach,  
Gru głosem bębnow, rogów i piszczeli,  
Spłomienia niebo, wstrząsa czarną ziemią,  
Gdzie skrycie wulkaniczne siły drzemią.*

*Szaleję, krzyczę. Jestem sam orkanem.  
Zazdroszczę tajdze tych ogniowych szat.  
Rzucam się w głąb w uniesieniu pijanem:  
Żywioły, moce! Przyjmcie, jam wasz brat!*

## II. BUDOWA.

*I jak się Feniks odradza w popiele  
I w nowej krasy powstaje rozkwicie,  
Tak nowej krwi poczułem tętno w ciele,  
I duch w tych ogniach nowe począł życie.  
Tyżeś to był tam, mój stróżu-anielu,  
Któryś nad losem moim czuwał skrycie  
I pchnął mą wolę — na nowe manowce!...  
Przecie w tem było znać mądrego lowce.*

*Bo dusza twórcza, dusza wiecznie głodna  
Błaga o każdy mającący krzyż  
I każdą przepaść musi zgłębić do dna,  
By samej sobie przecząc, sięgać wzwyż.*

*Pamiętam tylko: — poprzez tę gehemę  
Na jedno krótkie, nieuchwytne mgnienie  
Zamajaczyło mi widziadło senne.  
Miało wypukłe oczy, jak kamienie,  
Tak nieruchome, tak ciężkie, bezdenne,  
Jak nieodwrotne losów przeznaczenie,  
I wyciągnęło jakoś nieprzypadkiem  
Nawpół świadomie martwe ręce do mnie.*

*W strasznej, piekielnej zachnąłem się trwodze.  
Drżałem. Na głowie zjeżył mi się włos.  
Precz, precz! Jam wolny! Precz że na mej drodze  
Stanął kamienny, niszczyielski los!*

*I huczał wicher nademną z chichotem: —  
Byłeś li cząstką mojego podmuchu!  
Chmury mi grzmiały: — byłeś naszym grotem!  
Szumiały fale: — kroplą w naszym ruchu  
Marną płynąłeś, sam nie wiedząc o tem!  
Organy tajgi grały mi do słuchu: —  
Tyś nieświadomą cząstką przyrodzenia,  
Wiecznego wiru, zderzeń i zniszczenia!*

*Takiż mi dało życie pierwszy połów!  
Nie twórca świata, ani nawet widz,  
Ja — ślepa cząstka potwornych żywiołów —  
Nie zostawiłem dla wieczności nic!*

*Być samym sobą! Wyciskać swe piństwo,  
Na wieczne czasy oprzeć się zniszczeniu,  
Dźwigać, budować, tworzyć myślą skrzętną,  
Wznosić wieżycę kamień po kamieniu,  
Poddawać woli swej glinę niechętną,  
I każdą wieżę nazwać po imieniu,  
Bo każda będzie mej woli pomnikiem,  
Mego imienia nieśmiertelnym krzykiem!*

*Bo wiekom wieków będzie świadczyć o mnie,  
Jakem mozolnie kruszył ziemski miód,  
Jakem z nicością walczył nieprzypadkiem  
I przewycięzał złych żywiołów szal.*

*Marzyłem: trud mój nie pójdzie na marne,  
W głębie przyszłości padnie, da owoce!  
Dłoń, która wichry wzniecała pożarne,  
Nową jasnością rozwidni złe noce!  
Gdzie tylko glazy się piętrzą cmentarne,  
I w czarnej tajdze dziki wiatr chichoce,*

*I rwie łożyska buntownicza rzeka, —  
Powstanie nowy, wielki świat — Człowieka!*

*Marzyła mi się baśń o tym olbrzymie,  
Który zawistnym bogom ogień krał.  
Głośno wołałem jego wielkie imię,  
Odnajdywałem w skalach jego ślad.*

*I ślad ten wiodł mię tam, kędy prorocy  
Jeszcze nie przeszli, przez kraj zapomniany,  
Coraz to dalej, coraz ku północy,  
Ponad wieczystych lodów oceany,  
Gdzie grzeźnie tundry widnokrag sierocy,  
Jak niegojące się tej ziemi rany.  
Tam napotkałem tabór. Jacyś ludzie  
Wychudle reny pedził i po grudzie.*

*O płaskich czołach, potworni i dzicy,  
Przeciągle wyli — była to ich pieśń, —  
Pośród lodowych wklęsłych pól martwicy  
Byli jak mchy te, jak tej ziemi pleśń.*

*Krzyknąłem: nędzni! porzucicie namioty,  
O które wicher swe podmuchy ciska!  
Walczcie z złym losem, spieszcie do roboty!  
Budujcie mocne i trwałe siedliska!  
Miejcie nadzieje! Chwyćcie rydle, młoty,  
Niech ziemia dudni, niechaj ogień tryska,  
Niech woda płacze, uwieziona rowy!  
Ludzie, do pracy! ludzie, do budowy!*

*Nagle zawrzało wokół mnie, jak w ulu:  
Zbiegli się zewsząd, krzyczeli: wódz, wódz!  
Bo żyli tyle lat pod władzą bólu,  
A jam im odkrył, że go można zmódz.*

*Z dalekich gór dźwigałem ciężkie glazy,  
Przez wściekle rzeki przerzucałem mosty,  
Dom stanął jasny na moje rozkazy,  
Szlak przeciał tundrę wygodny i prosty,  
W grunt przemarznięty były częste razy,  
Ziemia jęcząca od tej strasznej chłosty,  
Rece krwawiły, pot nam skropił czoła,  
Lecz praca trwała płodna i wesola.*

*Przeciwwstawiłem prawiecznej potędze  
Mą ludzką pychę, zimny rozum mój,  
Nad ziemią myśli mej rozsnulem przedzę,  
Całą przyrodę wyzwalałem na bój.*

*Lecz gdy stanęło moje dzieło dumne,  
Wzniosła się twierdza ludzka nad pustkowiem, —  
Coś mi w niej dziwnie przypomniadło trumnę,  
Smetną, wypchaną czarnem ludzkim mrowiem.  
Życie w niej nazbyt zdało mi się szumne,  
A dnie zbyt szare, ciężące ołowiem.  
Dusza roila już o nowem dziele...  
Tyżeś prowadził mię, stróżu anielu!...*

*Szedłem na północ. A gdy noc zapadła,  
Jakiś nieznaną ogarnął mię lęk.  
Dziwne powstały przedemną widziadła,  
I jakby bratni skądś dolata jęk.*

DN.



## Rozdział VII.

Od tego dnia syn doktora począł uważać mnie za swoją własność i przyszła taka chwila, kiedy zadokumentował ten pogląd w sposób o tyle stanowczy, o ile jaskrawy.

Wspomniałam już, że z rozkazu ojca zaczęliśmy chodzić do szkoły wszystkie trzy, to jest ja, moja kuzynka i jej przyrodnia siostra.

Była to wiejska szkoła mieszana, a jedyną naszą nauczycielką była wysoka, chuda, trzydziestoletnia kobieta, o wiecznie zachmurzonej twarzy i surowem, nieubłaganem wejrzeniu zimnych, jak stal, oczu. Mówiono mi później, że zawdzięczała ona tę posadę stosunkom ciotki Brygidy, i zapewne pragnęła okazać jej swą wdzięczność, znęcając się nademną. Jakoż, aby mnie mieć wciąż na oku, posadziła mnie na ostatnim miejscu w najniższej klasie, aczkolwiek byłam przygotowana wyżej, dzięki codziennym lekcjom z moją matką.

Pewnego dnia, kiedy już jakiś tydzień chodziłyśmy wszystkie trzy do szkoły, byłam w dziwnie gadatliwym usposobieniu. Zastoniłam się więc tabliczką i zaczęłam szeptać z koleżanką, siedzącą przy mnie i za mną. Musiało to być coś wesołego, bo wnet chichotałyśmy w najlepsze.

— Cicho! — zawołała nauczycielka, lecz ja, nie zważając na to, szeptałam dalej, a dziewczęta dusiły się ze śmiechu.

Prawdopodobnie nauczycielka musiała wyobrazić sobie, że to ona jest przedmiotem naszych żartów, gdyż rzekła nagle:

— Mary O'Neill, powtórz, coś mówiła przed chwilą!

Zastoniłam się tabliczką jeszcze szczelniej i milczałam.

— Czy słyszysz? Gadaj w tej chwili! Cóż to? Język ci skołowaciał?

Ale ja nie odzywałam się w dalszym ciągu, a nauczycielka rzekła:

— Mary O'Neill, chodź tutaj!

Mówiła do mnie takim tonem, jakim się mówi do psa, i ja miałam już usłuchać, jak pies, gdy wtem wzrok mój padł na rozpromienioną twarz Betsy, wyrażającą rozkoszne oczekiwanie tego, co nastąpi.

Ta aluzja do mojej matki wcale się nie ruszyć z miejsca; ale nauczycielka wstała sama i, podszedłszy do mnie, rzekła groźnie:

— Cóż ty sobie myślisz, mała żmijo! Zadzierać chcesz ze mną? Pójdź tu w tej chwili!

Ani drgnęłam.

— Słyszysz? Może sobie wyobrażasz, że ponieważ cię w domu

pieszczą i psują w najniedorzeczniejszy sposób, to ci już wszystko wolno?

Ta aluzja do mojej matki wystarczyła. Siedziałam nieruchomo, jak skała.

Wówczas nauczycielka, blada z wściekłości, jak płótno, i z zaciśniętymi ustami, chciała mnie wyciągnąć z ławki, lecz ja uciepiłam się ze wszystkich sił pulpitu i tak mocowałyśmy się ze sobą przez chwilę.

— Ach ty, jędzo! — syknęła nauczycielka. — Niech mi tu która ze starszych przyjdzie pomódz!

Jedna ze starszych, a była nią Nussy Mac Leod, wstała pośpiesznie i wspólnymi siłami oderwały mnie od pulpitu i wyciągnęły na środek pokoju.

— Stój tu i ani się rusz! — wrzasnęła nauczycielka, dygocąc ze złości.

Co do mnie, ochłonęłam już z zawziętości czułam się tylko w najwyższym stopniu zawstydzoną.

— Dzieci! — zawołała nauczycielka, zwracając się do wszystkich klas. — połóżcie tabliczki i słuchajcie.

Poczem, odsapnąwszy i pokazując na mnie, ciągnęła dalej:

— Ta smarkata usprawiedliwiła opinię krnąbrnej, małej jędzy, jaką tu ze sobą przyniosła. Nieposłuszeństwem i zuchwałstwem zasłużyła na karę, której będziecie świadkami.

I z temi słowy zbliżyła się do swego pulpitu. Wiedziałam, że idzie po schowaną tam różgę.

Dotkliwie, gorzkie upokorzenie przeniknęło mnie nawskroś. Czułam wszystkie oczy utkwione we mnie, patrzące na moją hańbę. Pomyślałam o ciotce Brygidzie i moje dziecięce serduszek zadygotało z gniewu. Pomyślałam o mojej matce i wstyd ścisnął mnie za gardło. Przypomniałam sobie, jak mówiła, że jej mała Mary wygląda zawsze na księżniczkę, i myśl o chłoście, jaka mnie czeka wobec tych wszystkich wiejskich dzieciaków, zmiażdżyła mnie zupełnie.

W domu czułam nad sobą, bądź co bądź, opiekę mojej matki; tutaj zaś byłam najkompletniej samą i bezradną. Lecz właśnie w chwili, gdy usta poczęły mi drżeć i gdy już miałam zawołać z płaczem do nauczycielki: „O, proszę! nie bij mnie, pani! nie bij!” — zaszła okoliczność dziwna, która wstyd mój zmieniła w zdumienie i tryumf.

Poprzez mgłę, przesłaniającą mi oczy, zobaczyłam, jak z ławki oddziału chłopców powstał Jurek Con-

rad i zbliżył się ku nam powolnym, jakby zataczającym się krokiem. Wszyscy go widzieli, a nauczycielka rzekła ostro:

— Jerzy Conrad! Jakim prawem wychodzisz z ławki bez pozwolenia? Wracaj na swoje miejsce natychmiast!

Ale Jurek, zamiast posłuchać, wy dobył z zanadru swój wielki miękki kapelus i obu rękoma wpa kował go sobie na głowę.

— Wracaj na miejsce! — krzyknęła nauczycielka, zamierzając się na niego różgą, która świsnęła w powietrzu.

Chłopak nie nie rzekł; otrząsł się tylko, jak pies, wychodzący z wody, pochylił nisko głowę i tryknał nią zbliżającą się ku niemu nauczycielkę, aż zatoczyła się bez tchu prawie na ścianę.

Poczem, wciąż milcząc, wziął mnie za rękę i nim nauczycielka zdołała ochłonąć, a dzieci przyjdź do siebie ze zdumienia, wyprowadził mnie uroczyście, niby własność swoją, ze szkoły.

## Rozdział VIII.

Nie powróciłam już więcej do szkoły i dowiedziałam się, że władza szkolna publicznie wydalila Jurka. Matki nasze martwiły się tem ogromnie, jakgdyby cała nasza przyszłość miała na tem uciepieć, ale my nie dbaliśmy o to narazie. Przeciwnie — ponieważ ciotka Brygida umyła odemnie ręce, a ojciec Jurka nie mógł się zdecydować, co ma z nim uczynić — używaliśmy większej, niż kiedykolwiek, swobody i byliśmy prawie ciągle razem, dopóki nie nadszedł dzień, który sprowadził wielkie nieszczęście.

Pewnego ranka zastałam Jurka w lepiance starego Tommy. Obaj zatopieni byli w rozmowie na zwykły, ulubiony temat niebezpieczeństw i trudów podbiegunowych wypraw, kiedy to chłodno, głodno i do domu daleko.

— Ale już raz na miejscu ma się wszystkiego wbród: szynkę, słoniny, pomarańczy i innych rzeczy, prawda? — zapytał Jurek.

— Ani tyle, co czarne za paznogciem — odpowiedział Tommy. — Nic, tylko sławę. Bierze się kij, worek futrzany do spania i kawał suchara i idzie się het, między góry, przepaście, lodowce, myśląc tylko o tem, żeby zrobić coś takiego, czego nikt przedtem nie zrobił. Tak, tak, chłopcze. Człowiek mówi sobie: „Sława na mnie czeka” i idzie naprzód, na nic nie bacząc.

Gdy Tommy wymawiał te słowa, błękitne oczy Jurka błysnęły, jak morze ozłocone słońcem, poczem on sam, spostrzegłszy mnie, zwrócił się do Tommy'ego i zapytał:

— Ale kobiety biorą też udział w wyprawach?

— Kobiety? ani na lekarstwo! — odrzekł Tommy.

— A jeśli z której jest dobry numer?

— Ha! — rzekł Tommy, mru- gnąwszy okiem znacząco w moją stronę. — tego nie powiedziałem. Czemu nie?

Następnego dnia Jurek przy- szedł do nas w towarzystwie swego jamika, z workiem na plecach, z ki- jem od szczotki w ręku, butelką mle- ka i kawałem morskiego suchara, które to zapasy, owinięte w papier, przytroczył sobie do kurtki.

— Sława czeka na mnie, pójdź ze mną! — szepnął tajemniczo; a ja bez słowa zapytania usłuchałam.

Wiedziałam, że się wybiera na morze, i serce we mnie zamarło, bo niczego się tak nie lękałam, jak mo- rza. Ale trzeba było pokazać się na wysokości opinii, jaką sama Jurko- wi o mojej odwadze wyrobiłam. Dręczyła mnie bowiem ciągle oba- wa, że, przekonawszy się, iż jestem tchórzliwą, jak inne dziewczęta, nie zechce być nadal moim bratem.

Udaliśmy się do lepianki Tom- my'ego, która w owej porze była pusta; Tommy bowiem, jako wdow- iec, mieszkał sam. Tuż za tą le- pianką, przypartą do skały, tworzą- ciej małą zatokę, znajdowała się u- wiązana u pała łódka. Było około drugiej po południu, słońce świeciło jasno i zaczynał się przypływ.

Nigdy w życiu nie byłam dotąd na morzu; lecz nie śmiałam napom- knąć o tem ani słowem. Z trudem wgramoliłam się do łodzi. Jurek od- dał mi jedno wiosło, odepchnął swo- jem łódką od brzegu i wnet znaleźli- śmy się na pełnych falach. Zrobiło mi się niedobrze i upuściłam wiosło w morze; ale Jurek, zamiast mnie złażać, rzekł tylko:

— Mniejsza z tem. Myślałam właśnie, że będzie mi poręczniej z je- dnym wiosłem.

Siedziałam cichutko, wyprostowa- na, z jannikiem na kolanach. Ju- rek zaś w najświetniejszym usposo- bieniu, wiosłował zawzięcie, śpiewa- jąc i gwizdząc naprzemiennie.

— To dopiero używanie, co? — zawołał, a ja, choć zęby dzwoniły mi, jak w febrze, przytaknęłam.

— Inne dziewczęta — naprzy- kład siostra Jemmy Christopfor'a, Nessy Mac Leod, Betsy — bałyby się iechać na eksplorację, prawda?

— O, tak! — odrzekłam i za- śmiałam się z przynusem.

Musieliśmy już płynąć z dobre pół godziny i brzeg, wraz z lepianką Tommy'ego, zniknął nam prawie z oczu, gdy Jurek rzekł nagle:

— Widzisz tam, Biegun Północ- ny?

Wiedziałam naprzód, dokąd pły- nał. Wiedziałam, że to będzie skała Panny Maryi, czyli miejsce, które- go widok przejmował mnie zawsze panicznym strachem. Było też isto-

tnie coś nieopisanie ponurego w tej szarej masie granitu, występującej z głębi wód do wysokości jakichś trzydziestu stóp, groźnej, brzydkiej, owieszonej, niby trumna, festonami długich wodorostów.

Za zbliżeniem się naszym chma- ra białego ptactwa zerwała się z roz- padlin i z wrzaskiem i łopotem skrzydeł poczęła kołować nad na- szymi głowami. Miałam wielką o- chotę wrzeszczeć również, ale Jurek rzekł:

— Wspaniałe, co?

— Bardzo — odrzekłam i za- częłam nucić majtkowską piosnkę, jakiej mnie Tommy nauczył.

Lecz moja sztuczna wesołość niedługo trwała. Jurek, dobiwszy łó- dzia do wystającego zrębu skały, wyskoczył na brzeg i podawał mi rękę, ja jednak, przestraszona nad- biegającą falą, cofnęłam się w tył, zamiast poskoczyć naprzód, i wcią- gnęłam biedaka do wody, że zamo- czył się od stóp do głów. Zawsty- dziło mnie to ogromnie i myślałam, że się rozgniewa na mnie, lecz on otrząsnął się tylko i rzekł:

— To nic! Kto by tam dbał o trochę wilgoci, podczas eksploracyi.

Nie czekając odpowiedzi, owi- nał mi powróż dokoła prawej ręki i, przykazując, bym się nie ruszała z miejsca i trzymała mocno łodzi, wdrapał się na skałę z workiem na ramieniu i kijem od szczotki w rękę i wnet zniknął mi z oczu.

Zostawszy samą, uczułam, że ogarnia mnie jeszcze większy strach, a gdy jeszcze w dodatku zobaczy- łam, że przypływ poczyna zalewać miejsce, na którym stałam, spróbo- wałam w panicznej twrodze wspiąć się wyżej. Lecz zaledwie postąpi- łam parę kroków, noga mi się pośliz- gnęła; instynktownie uczepiłam się obu rękoma wodorostów, puszcza- jąc powróż, wskutek czego łódź zsunęła się w podskokach ze skały i wpadła z pluskiem do morza.

Krzyknęłam rozpaczliwie i gło- wa Jurka ukazała się po chwili na- demną. Ale już było zapóźno; łódź oddaliła się o jakie sześć jardów, on zaś, gdy mniemała, że zacznie lajać mnie za to, iż tak idyotycznie pozabawił nas jedynego sposobu komunikacyi z lądem, rzekł tylko:

— Nie martw się! W eksplora- cyach trzeba być zawsze przygoto- wanym na to, że się tam jakąś jedną lub drugą łódkę straci.

Milczałam zawstydzona, a Ju- rek, wwindawawszy mnie na skałę przy pomocy kija od szczotki, od- biegł, jakgdyby się nic nie stało, ukazując mi z dumą czub zrębu, na którym zatknął był flagę, z jakichś szczytków matczynej garderoby u- czynioną. Poniżej tego czuba, na zardzewiałej, żelaznej kłamrze wisiał ogromny dzwon.

— I cóż my teraz poczynimy? — wychlipałam przez łyzy.

— Głupstwo — odrzekł — zasy- gnalizujemy o pomoc i kwita.

Zrozumiałam, że ma na myśli dzwon, lecz, niestety, był to dzwon bardzo ciężki, który tylko wzburzo- ne morze rozkołysać potrafiło, i gdy Jurek przywiązał sznur do jego ser- ca i próbował je poruszyć, usiłowa- nia jego ograniczyły się do wydo- bycia z niego ledwie dostłyszalnych dźwięków.

Minęło parę godzin; na morzu widać było tylko naszą łódkę, dążą- cą do brzegu.

— A jak pomoc nie przyjdzie? — wybelkotałam.

— Zaś tam! Tylko jej patrzeć! A gdy nas wysadzą na ląd, dopiero zbiegną się tłumy z muzyką i pocho- dniami, żeby nas do domu odprowa- dzić. Zobaczysz!

Lecz słońce zapadło już w mo- rze; brzeg stawał się coraz niewy- raźniejszym w wieczornej pomroce; przypływ podnosił się coraz wyżej, a pomoc nie przybywała. Nagle Ju- rek rzekł:

— Oj! do licha! takim głodny... Zjadłbym... zjadłbym psa. My za- wsze zjadamy nasze psy w eksplo- racjach.

Jeszcze w drodze, dla większej swobody ruchów przy wiosłowaniu, dodał mi był swoje zapasy. Sięgnę- łam żywo do kieszeni... niestety, su- chara nie było; musiał wypaść, gdy się poślizgnęła, chcąc wejść na skałę. Z trwogą spojrzałam na Ju- rka, lecz on rzekł:

— Głupstwo... W eksploracyach bywa się często głodnym. O! na- pijemy się mleka. Nic pyszniejsze- go nad mleko!

Chwyciłam za uwieszoną u paska butelkę i ręce mi opadły. Bu- telka była pusta. Musiała się stłuc jednocześnie z utratą suchara i cała jej zawartość wyciekła.

DCN.

## Wiadomości literackie.

### Z literatury polskiej.

JAN LORENTOWICZ. „Ziemia polska w pieśni”. Antologia. Z 12 reprodukcya- mi obrazów artystów polskich.

Gustownie wydana, o świetnych ilu- stracyach książka ta stanowić winna cenny upominek dla wszystkich tych, którzy kochają polskie lasy i pola, nasze rzeki i stawy, naszą wiosnę, lato, jesień i zimą, nasze miasta i wsie, nasze parki i ogrody, wreszcie nasze mogiły i ruiny. Lorentowicz systematycznie zebrał wszystko, co charakteryzuje ziemie na- szą, i doskonale ukłasyfikował według ro- dzajów, podał przytem tak skorowidz al- fabetyczny autorów, jak i spis utworów, co pozwala na szybką orientację w tej blisko 600-stronicowej księdze. Dla lite- ratów, profesorów literatury książka ta jest też doskonałym usystematyzowa- nym podręcznikiem. Jasno skreślony wstęp doskonale historycznie oświetla rozwój naszej rodzajowej poezyi.